

69. 29.

ADAM MICKIEWICZ



ARCHIWUM  
LEGIONÓW  
i N. K. N.

Nr 155

# Moja pierwsza bitwa



TOWARZYSTWO WYDAWNICZE „IGNIS”.—E. WENDE i S-ka,  
WARSZAWA.—M. NIEMIERKIEWICZ, POZNAŃ.—H. ALTEN-  
BERG, LWÓW. — TOW. KSIĘGARŃ KRESOWYCH, TORUŃ

# Moja pierwsza bitwa.

OPOWIADANIE SIERŻANTA.

---

Zazdroszczę Atylli, który stoczył tysiąc bitew, a w tysiącnej jeszcze czuł w sobie to, co nazywał gaudia certaminum, czyli rozkosz rzezi. Oj, był to krwawy rozpustnik ten stary hetman! Co się mnie tyczy, piastującego stopień sierżanta lekkiej artylerji, wyznaję, że zaprawdę zakochany byłem w wojence, ale tylko przez pierwszy tydzień mojego wojennego zawodu, i że w Atyllowej rozkoszy raz tylko jeden jedyny zasmakowałem. Z tej to przyczyny nigdy mi nie wyjdzie z pamięci mój miodowy tydzień i pierwsza bitwa.

Pierwsza bitwa ma szczególniejsze podobieństwo z pierwszą miłością. Ileż nadziei! ile złudzeń! przed tą uroczystą akcją, która rozstrzyga o losie narodów, lada rekrut czuje się powołanym do odegrania co najmniej roli... jakiego bohatera historii lub romansu.

Przychodzi wreszcie do rozprawy i stajesz do niej z niecierpliwością i pewnym niepokojem, do-

znając raz trwogi śmiertelnej, to znowu szalonej wesołości; już cię strach przeszywa, już cię podnosi pycha tryumfatora. W jednej godzinie przechodzisz przez tłumy wzruszeń, i zbierasz wspomnienia na całe życie! lecz aby to czuć z całą mocą, trzeba mieć serce dziewicze, serce rekruckie.

Powiedział ktoś, że każdy człowiek może skomponować dobry romans, opowiadając tylko po prostu historję swej pierwszej miłości. To postrzeżenie zachęciło mię do opisanja pierwszej bitwy, w której byłem. Trzeba wiedzieć, że ta bitwa jest tylko epizodem sławnej wojny, że z niej odnieśliśmy świetne zwycięstwo, i że w swoim czasie zjednała nam podziw ludów europejskich. Wprawdzie dawne to czasy, bo ludy dobrze już zapomniały i o naszych klęskach i o naszych tryumfach. Mimo tego żołnierz polski nigdy nie zapomni o bitwie pod Stoczkiem.

Po rewolucji 29 listopada\*) postanowiłem wstąpić w szeregi, i rozmyślałem, czy do piechoty, czy do jazdy? Ażeby zrobić stanowczy wybór, przebiegałem ulice Warszawy, przypatrując się bacznie mundurom różnych pułków. Naprzód zatrzymałem się przed bataljonem grenadjerów, którzy maszerowali w ściśniętych szeregach, milcząco, w porządku i poważnie. Wszystko wąsacze, z szewronami na ramionach. Były to resztki legionów napoleońskich. Kiedy przechodzili, ustępowano im

---

\*) 1830 r.

z uszanowaniem, i szeptano w tłumie: „To mi żołnierze! to nasi obrońcy!“ Zazdroścę im, pomyślałem, piękna to rzecz być grenadjerem! I zbliżyłem się do oddziału, a zajmwszy miejsce obok dobosza, maszerowałem krokiem grenadjerskim, upatrując komendanta, któremu chciałem natychmiast ofiarować moje służby.

Wtem, na drugim końcu ulicy, ukazał mi się nowy meteor wojskowy. Był to krakus na białym koniu, w białej sukmance, w czerwonej czapeczce z białym piórkiem, który jak łabędź przerzynał czarne fale tłoczących się mieszczuchów. Ślicznie wywijał on koniem; pieszych witał skinieniem głowy, z kawalerzystami ścisnął się za rękę, a pięknym damom, stojącym w oknach, posyłał wdzięczne pocałunki. Wszystkie oczy zwróciły się ku niemu; mężczyźni klaskali, kobiety uśmiechały się w milczeniu; a piękny krakus stał się bożyszczem chwili.

Przyszło mi zaraz na myśl, że w mundurze krakowskim na mój wiek i wzrost będzie mi bardziej do twarzy, A tak objawiło mi się moje właściwe powołanie: Bóg mię stworzył krakusem!

Zwróciłem się więc w stronę koszar jazdy; ale w połowie drogi wpadłem w niezmierny tłum, który mię porwał ze sobą i uniósł ku rogatkom. Lud się cisnął na spotkanie nowo nadciągających szeregów. Osobliwsza figura jechała na przodzie; był to stary kapucyn w habicie i na koniu, w jednej ręce z lancą a drugą błogosławiący krzyżem

lud, który mu nogi całował. Za kapucynem postępowało tysiąc strzelców z lasów augustowskich. Mieli przewieszane dubeltówki i wielkie torby borsucze z pazurami i wyszczerzonymi zębami, bielejącymi na zielonych kurtkach. Drugi tysiąc wieśniaków, uzbrojonych w krzywe kosy i siekiery zamykał pochód. Nigdy wejście najpiękniejszych pułków, nawet wejście księcia Józefa na czele zwycięskich legjonów nie wzbudziło takiego zapалу, jak ten, z którym Warszawianie witali torby borsucze i łyżane łapcie. Nie były to już oklaski, ani uśmiechy, ale krzyki, grzmiące hura! i błogosławieństwa, pomieszane z głośnym płaczem. Lud bowiem dziwnym swoim instynktem umiał schwytać wzniosłą i piękną stronę obrazu. Na widok tych kapłanów, tych rolników, którzy porzucili cele klasztorne i swoje bory, ażeby bić nieprzyjaciół ojczyzny, lud zrozumiał całą grozę niebezpieczeństwa, a oraz pojął z całą ufnością, że to jedyny środek obrony.

Wzięła mię nagła pokusa porwać natychmiast za kosę lub dubeltówkę i stanąć do szeregu z chłopami, aby z nimi podzielić tryumfalne wejście do stolicy. Ale jakże to zrobić? jak nadać sobie ruchy zuchowate i wyzywające mazowieckiego kosyniera, lub wyraz ponury i dziki strzelca z nad Niemna? Jak wyrównać mu wzrostem i szerokością pleców? wśród tych olbrzymów wyglądałbym, jak królik między wilkami. Cóż więc pocznę ze

sobą? Czy mam być krakusem, czy grenadjerem! Niepewność ta dużo mię kosztowała.

Znajomy mi pułkownik spotkał się ze mną w przechodzie i klepiąc mię po ramieniu, rzekł: „Dowodzę oddziałem partyzantów; część moich ludzi wyszła już w pole, ja sam dziś wyruszam z Warszawy, potrzebuję kanonierów; może wiesz, gdzie ich znaleźć?

— Wiem o jednym, rzekłem, przybierając postawę wojskową; potrzebujesz kanoniera, oto go masz!

— Zgoda! rzekł pułkownik, naciągaj mundur i staw się u mnie dziś wieczór punkt o dziesiątej, czy rozumiesz?

W taki sposób werbowano żołnierzy w czasie naszego powstania. Tegoż dnia o jedenastej w nocy maszerowałem umundurowany przy armatach.

W ciągu marszu ćwiczyliśmy się w użyciu broni, a ja tyle dokładałem pilności, że po trzech dniach mianowano mię sierżantem i pod moje rozkazy oddano armatę. Zawistni utrzymywali, że stopień mój zawdzięczałem osobliwym względom pułkownika.

Bądź co bądź sam się zdziwiłem, zmieszałem i niemal zawstydziłem na tak nagły awans. Zawróciło mi się w głowie i dopiero po kilku godzinach osłupienia zacząłem uczuwać wpływ nowej mojej godności. Mimowolnie przybrałem minę marsową i poważniejszą; wyciągnąwszy uroczyście prawą rękę, położyłem ją na mojej własności, na wy-

locie armaty. Kawał ten bronzu, myślałem sobie, będzie filarem w świątyni mojej sławy; będzie pierwszym stopniem w rycerskim zawodzie, a może i na tron mię zawiedzie! Dobrze wycelowane działo rozstrzyga nieraz los wojny. A Napoleon od czegoż zaczął, jeżeli nie od kanoniera? Pełen tych marzeń zakochałem się w mojej spiżowej armacie jak w pannie i odtąd zawsze byłem przy niej. Badałem jej wady i przymioty, roztrząsałem charakter i poznałem najdokładniej cały jej skład i naturę tak fizyczną jak moralną. Tak dobrze wbiła mi się w pamięć, że zrobiłbym z pamięci jej portret. Dźwięk jej głosu znałem tak dobrze, żebym go mógł być rozróżnić wśród huku najwyższej kanonady, choćby pod Lipskiem, lub Ostrołęką. Kochana moja armatko! cóż stało się z tobą? w czyjeś ręce popadła? Zapewne nikt cię tak nie popieści, jak ja cię pieściłem. Ta myśl mię jedynie pociesza. Była to wprawdzie niewielka ośmioletka, ale dla mnie była ogromną, bo ciężarną całą moją przyszłością. Zresztą dobrze osadzona, łatwa do manewrowania i dziwnie celnego strzału. Cały dzień ledwo mi wystarczał na spełnienie obowiązków przy kochanej armatce, a i przez noc nie przestawałem myśleć o tym przedmiocie mojej miłości. I tak, jednej nocy śni mi się bitwa, a na przeciw mię kogoż widzę? feldmarszałka Dybicza! Zaraz biorę na cel — paf! i moja kula przecina go na dwie połowy. Puszczam się, aby oderwać mu głowę i jeszcze ciepłą zanieść do naczelnego

wodza, księcia Radziwiłła; ale trup Dybicza tak ostro się bronił, że aż wybiłem się ze snu i w rzeczywistości, zamiast głowy moskiewskiego wodza, trzymałem głowę śpiącego obok mnie kanoniera. Innej nocy gorsza rzecz mi się zdarzyła: śniłem, że jazda moskiewska wpadła na nas niespodziewanie; mnie naprzód zabito, potem wycięto moich kanonierów, a nareszcie kirasjer moskiewski siadł na mojej armacie jak na koniu i zaczął ją zagwoźdzać, spoglądając na mnie okiem pogardy. Wtedy uczułem wszystkie męczarnie męża Lukrecji i męczarnie ojca Wirginji. Chociaż byłem już trupem zimnym i skostniałym, niemniej dobywałem wszystkich sił, aby dać znak życia i pasując się ze sobą, udało mi się nareszcie tak tego wrzasnąć, że się i sam przebudził i zaalarmowałem cały obóz. Zerwawszy się na nogi, a właśnie dzień poczynało, szukam oczyma mojej armaty i widzę z niemałą radością, że jest, że spoczywa wolna i spokojna na swej lawecie.

Otwarta jej paszcza zdawała się wciągać chłodek poranka, a lśniąca powierzchnia odbijała pierwsze promienie słońca. Położyłem się znowu na mokrej ziemi, ale tym razem przez ostrożność trzymałem ręką za sprychę, ażeby bronić mego skarbu przeciw rzeczywistej lub sennej napaści.

Tak przeszedł cały tydzień, mój pierwszy tydzień po zaślubieniu pięknej ośmioletki: tydzień miodowy sierżanta artylerji, najszczęśliwszy tydzień w mojem życiu! Każdą chwilę miałem za-



jętą, w przekonaniu, że już osiągnąłem cel mego bytu na świecie; dusza moja przeszła całkiem w ukochaną armatkę.

Tymczasem zbliżaliśmy się coraz do brzegów Wisły; lody puściły już w wielu miejscach i widać było tu i owdzie występującą wodę. Pułkownik nasz, z tyką w rękę, pierwszy się puścił na lód, brodząc w wodzie po kolana, potem rozkazał nam iść za sobą. Iść za nim i to z naszymi armatami po tak słabym lodzie? Na ten rozkaz zbladłem jak śmierć, cała bowiem nasza przyszłość wojenna mogła utonąć. Nakoniec przeszliśmy szczęśliwie i na drugim brzegu stanęliśmy z okrzykiem: Niech żyje Polska!

Tego samego wieczora nastąpiło połączenie się z korpusikiem, przodem wysłanym z Warszawy. Oczekiwał on nas niecierpliwie; młodzi bowiem żołnierze wysokie mają wyobrażenie o potędze artylerji, a bardzo ich niepokoiło, że w przededniu spodziewanej bitwy nie mieli dział. Posłyszawszy turkot kół armatnich, cały obóz nieposiadał się z radości: „nasza artylerja nadciąga! Niech żyje artylerja!“ wołano ze wszystkich stron i bieżono na nasze spotkanie i postawiono nas w środku obozu.

My także z zapałem powitaliśmy naszych towarzyszy. Dotąd odbywając marsze w osamotnieniu, teraz znaleźliśmy się w tłumie dzielnych żołnierzy, których liczba wydawała się znaczną na oko. To podniosło naszą ufność. Wszystkiego jed-

nak nie było więcej, jak dwanaście szwadronów, zajmujących szeroką przestrzeń. Dumnie spoglądaliśmy na las zatkniętych lanc, których nowe chorągiewki iskrzyły się barwami, nieznanymi jeszcze krwi i kurzu. Po wesołej i hucznej wieczerzy pokładliśmy się spać, kołysani dźwiękiem muzyki wojskowej i śpiewem mazurka.

O świcie, kiedy korpusik nasz wchodził do wsi, doleciały nas pomieszane krzyki. Zatrzymujemy się; wysłano na zwiady i okazało się, że to okrzyki zwycięstwa! Pierwszy to tryumf! Trzeba było widzieć, jak cieszyliśmy się nimi. Kozacy ci, brodacze, rozbrojeni, szli piechotą ze spuszczonei głowami i kwaśną miną. W miarę, jak przechodzili koło nas, nasi młodzi żołnierze przedrwiwali z nich, klęli lub grozili. I mnie chętka brała robić to samo, ale obowiązek, przywiązany do stopnia, nie pozwalał na to, więc surowo ich gromiąc, rzekłem: „Polacy! szanujcie nieszczęście! Wątpliwy bywa los wojny! Śmierć naszym wrogom! litość nad zwyciężonymi! Niech żyje Polska!“

Żołnierze uspokoili się, spierunowani wspa-  
niałością mych uczuć i sentencjonalną wymową. Od niejakiego czasu zwrócił moją uwagę jeden stary kanonier, jadący obok mnie, który ciągle się wspinał na strzemionach, zadzierał głowę, szyję wyciągał ponad ramiona swoich towarzyszy.

— Za czem tak patrzysz, Mateuszu?

— To te bestje, panie sierżancie, niech ich tam kaci porwą... I wskazał palcem na wzgórze,

będące przed nami. Ujrzałem wtenczas, jak się coś czerniło na szczycie wzgórza. Byłyż to krzaki, czy kaszkiety moskiewskiej piechoty? Nie miałem czasu przypatrywać się dłużej, albowiem nadbiegli adjutanci, wołając z całej siły: „Artylerja naprzód! stawać na pozycji!“ Ruszyliśmy, co koń wyskoczył. Padł strzał armatni i kula, zabiwszy nam konia, osypała nas ziemią i poleciała dalej, rykoszując. Zajęliśmy pagórek, wprost naprzeciw nieprzyjaciela, który podwoił ogień.

Szeroka płaszczyna, obwiedziona krzakami i borem, roztaczała się przed nami. W środku niej, na wzgórzu, zatoczyli Moskale baterję dwunastu dział ciężkiego wagomiaru, które nas osypywały kulami i granatami. Za baterją widać było gęste szeregi jazdy, stojącej nieruchomie. Nasza jazda podobnież stała spokojnie, zostawiając czas działaniu artylerji.

Zauważyłem, iż żołnierze różnej broni zachowują podczas bitwy postawę i wyraz twarzy właściwy sobie. I tak artylerzysta nie ma ani kawalerskiej rzutności, ani niecierpliwości piechura, lecz baczny na komendę, szybki i dokładny w każdym poruszeniu, zdaje się zachowywać zimną krew, chociaż oczy jego dymem gryzione, krwią zasze, brwi zmarszczone, twarz blada, usta ściśnięte, mowa krótka i twarda wyrażają zażartą wściekłość, tłumioną i koncentrowaną.

Śród tego ognia, mimo, że śmierć zmiatała głowy, nie przestano robić żarcików; każdym ra-

zem co kula rykoszowała, młodzi żołnierze nie omieszkali rozmawiać z nią i dawać jej rady. Rykoszująca kula może być widzianą z daleka, jak skacze po polu, więc jeżeli szła na bok, na lewo, wołano na nią: „Gdzie lecisz, ślepa! bierz się na prawo!“ a jeżeli szła prosto, zachęcano ją: „dobrze, dobrze!“ i tak rozmawiano z nią dopóki nie wpadła w sam środek linii nieprzyjacielskiej i dopiero dawano jej brawo.

Już nie wiem, ile godzin trwała ta kanonada. Chociaż gorączkowo mijaliśmy się przy działach, jednakowoż zabawka ta trwała za długo, aby nie pragnąć nadejścia nocy. Artylerja rosyjska miała nad nami widocznie przewagę, tak co do liczby, jak i wagomiaru dział. Ubito nam już kilku ludzi, wielu było ranionych, a wszyscy lubo nadzwyczaj zmęczeni, jednakowoż nie upadali na duchu i nikt ani myślał o odwrocie.

Naraz od lewej strony okropnie ryknęły działa. Moskale właśnie tam postawili nową baterję, którą nas ostrzeliwali z boku. Zwróciliśmy dwie nasze armatki przeciw tej nowej zaczepce, z którą trzeba było pogadać; lecz położenie nasze stawało się coraz przykrzejsze, bo sześcioma polowemi armatkami odpowiadać na dwadzieścia dział ciężkiego wagomiaru, to nieprzelewki! Nasi żołnierze na widok tej nierówności sił zdawali się być pomieszani. Już ruchy ich słabły, już wystrzały nasze rzadziej się odzywały, a nawet dykteryjki i żarciki całkiem ustały.

Zdaje się, że nasz dowódzca czekał na to, aż

Moskale rozdziela swe siły, aby korzystać z tego momentu i uderzyć na nich; tak przynajmniej przypuszczam, aczkolwiek nie kuszę się rozprawić o planie bitwy. Tyle wiem, że w najkrytyczniejszej chwili usłyszeliśmy od lewej strony tentent konnicy, pędzącej galopem i w kilka minut potem owa druga baterja zamilkła, gdyż była zdobytą.

Nasz dowódzca zawrócił się i poskoczył ku głównej sile naszych szwadronów, wołając: „Naprzód kłusem! naprzód wiara!” I cała nasza jazda, uszykowana w dwa szeregi, posunęła się, mijając naszą baterję. „Idą do szarzy!” wołali nasi kanonierzy i zaraz zaprzestaliśmy strzelać. Jakiż to widok? Młode ułany z zapalonym wzrokiem, rozognioną twarzą, rwali się niecierpliwie naprzód, ale radzi nieradzi musieli słuchać surowych rozkazów dowódcy, który ciągle powtarzał: „Kłusem! naprzód! kłusem!” Widać było z ruchu chorągiewek, jak gorączkowo drgały ręce żołnierzy. Nakoniec ozwały się trąby, zniżały się chorągiewki i już kopnięto się na nieprzyjaciela. „Naprzód! galopem! naprzód wiara!”

Pognali! — Myśmy zostali przy naszych armatach, nic nie robiąc, a nawet nic nie myśląc. Artylerja niedawno tak ruchliwa i hałaśliwa, zdawała się jak skamieniała. Dusze nasze uleciały daleko i usiadły na ostrzach grotów ułańskich. Oto już blisko są Moskali! Już moskiewskie szeregi rozwijają się, aby ich przyjąć. Kanonierzy powyłazili na lawefy, na jaszyczki i patrzą w przestrzeń, podani naprzód, z gębą otwartą; a była ta-

ka cisza, że usłyszałbyś lot muchy. Każdy z nas czuł, że od tego starcia się zawisł nasz los, los naszego wojska, może i Ojczyzny! Była to chwila oczekiwania i strasznej niepewności, szczęściem trwała kilka tylko minut. Nasze ułany starli się z Moskałami na wyżynie, obie linje starły się ze sobą i pomieszały.

W całej tej masie zawrzało i cała masa znikła jak tuman kurzawy, pędzonej wiatrem.

Nie wiem kto taki, ale ktoś między nami krzyknął na całe gardło — okrzyk ten przerwał grobową ciszę, ogłaszał bowiem zwycięstwo, wszakże nikt mu nie wtórował. My bowiem, młodzi żołnierze, jeszcześmy nie rozumieli, ani odgadywali skutku tej bitwy, a przytem lękaliśmy się oddawać przedwczesnej radości. Poczekajmy! ten i ów mówił — dotąd niema nic pewnego; nic nie widać, wszyscy gdzieś się podzieli!

Nareszcie część tej masy, którą widzieliśmy, jak zginęła nam z oczu, zaczęła ku nam się zbliżać. Po kolorach poznaliśmy naszych ułanów a i po okrzyku wojennym: Jeszcze Polska nie zginęła.

Już nie ma co wątpić, zwycięstwo przy nas! Zbliżająca się masa przedstawiała osobliwy widok. Widać w niej było mnóstwo pieszych żołnierzy rozmaitej broni, przytem furgony, jaszczyki, działa... Byli to jeńcy moskiewscy, zabrani z artylerją i całym taborem.

Nie potrafiłbym opisać naszej radości, tej szalonej radości! Jakto! cała ich artylerja! ta po-

teżna artylerja w naszym ręku. Rzuciliśmy się obces na te puszki, ściskając je, pieszcząc się nimi, a ja sam na chwilę zapomniałem o mojej kochance, ośmioletówce.

Pięknież to były te rosyjskie armaty, takie ogromne, nowe, doskonale umontowane i opatrzone we wszystko.

— Patrzno, panie sierżancie — wołał kanonier Mateusz — patrz, jakie czerwone, jakie błyszczące armaty mają te przekłete Moskale.

Zacząłem rozkoszną ręką głaskać wypolerowaną powierzchnię spiżową, a wszyscy powtarzali chórem: „Ależ to się świecą te moskiewskie puszki! „a jaki kaliber!“ zauważył jeden kanonier, „to mi to kaliber! to nie żadna pukawka!“

Zacząłem mierzyć wylot granatnika, a żołnierze powtarzali: „to nie żarty taka paszcza!“

Potem, kiedyśmy zaczęli oglądać uprząż, znowu chórem wołano: „Ależ to tęgi rzemień mają te przekłete Moskale!“

Nie zgadnie nikt przecież, co nam sprawiło największą radość; oto ni mniej ni więcej, tylko zwykły owies, zabrany łupem. Nasza jazda nie miała już furazu, a Moskale mieli go poddostatkiem; ich furgony, jaszczyki, ławety nawet pełne były owsa. Żołnierze rzucili się nań łapczywie, napełniając nim worki, ładownice, kieszenie i powiadając, że nigdy jeszcze nie widzieli tak pięknego owsa.

Nadjechał wódz i na jego widok zagrzmiał

okrzyk zapału i uwielbienia. Snać bardzo był zmęczony, bo choć dzień chłodny, pot spływał z niego kroplami.

Otoczyliśmy go gęstym tłumem. Śród ogólnego poruszenia i wybuchów radości, on jeden był spokojny i milczący, choć widocznie wzruszony.

— „Dzieci moje — rzekł do nas — przyrzekłem poprowadzić was na nieprzyjaciela; wy przyrzekliście pobić go — a tak i ja i wy dotrzyaliśmy słowa.“

Taki był koniec pamiętnego dnia pod Stoczkiem. Z zapadającą nocą zaczęły się opowiadania przy obozowych ogniskach, Słuchaczów nie było, wszyscy bowiem mówili; wszyscy dzielnie się spisali w bitwie, wszyscy mieli dowcip — bo wszyscy byli szczęśliwi.

Jeżeli przyjdzie na mnie ta błogostawiona godzina, że jeszcze będę mógł walczyć w obronie ojczyzny, widzieć armję moskiewską w popłochu, odzukać moją ukochaną ośmioletką i miotać z niej kule na złociste dachy stolicy carskiej, natenczas nazwę się szczęśliwym; a jednak nawet wówczas nie potrafiłbym czuć tego, czegom doświadczał w pierwszej bitwie, w bitwie pamiętnej pod Stoczkiem.